POWIEŚĆ i NOWELA

ROK XXI WARSZAWA, DNIA 16 MARCA 1929 ROKU NR. 11

JERZY SZARECKI

DOMEK KAPITANA DALEKIEJ ŻEGLUGI

Zaczęło się od tego, że kapitan Skalski pod koniec jednego, bardzo długiego i bardzo uciążliwego rejsu oświadczył załodze przy jakiejś okazji, że gęby jej członków, rozmowy ich oraz ustawiczne plugawe przekleństwa obrzydły mu już oddawna i do szczętu. Oświadczenie to zdziwiło niezmiernie marynarzy, gdyż Skalski, kapitan dalekiej żeglugi, oglądał ich, coprawda niezbyt wykwintne lecz teraz niemniej sympatyczne oblicza już od dziesięciu lat, czyli od chwili gdy został przeniesiony przez dyrekcję towarzystwa okrętowego z załogi czterokominowego „Lewjatana", gdzie był starszym oficerem, na „Niobe", na której dano mu stanowisko komendanta. Przez tak długi okres czasu do „gęb" nawet najpaskudniejszych można się przyzwyczaić, zaś nigdy obrzydzić je sobie do tego stopnia, żeby aż wiadomością o tem „obrzydzeniu" dzielić się właśnie z temi „obrzydzonemi gębami".

Jeszcze dziwniejszym się wydawał wstręt kapitana Skalskiego do „plugawych przekleństw", gdyż on to właśnie był wirtuozem w wypowiadaniu ich i nikt absolutnie nie mógł nawet marzyć dorównać *mu* w „zaginaniu dziesięciominutówek", które jak wiadomo są szczytem mistrzostwa w sztuce pojedynków słownych. Ze wszystkich tedy punktów widzenia oświadczenie kapitana było dziwne i niezrozumiałe.

Był to jednak dopiero początek późniejszych jego dziwactw.

Gdy „Niobe" zawinęła wreszcie do portu i porucznik Mc. Lean, jedyny towarzysz z messy *) kapitana Skalskiego, wróciwszy z lądu, zaczął opowiadać mu o swoim pobycie w pewnym domu, którego żadną miarą prywatnym nazwać nie można i o szatańskich wdziękach jakiejś wampirycznej Loulou, kapitan Skalski ni stąd ni zowąd oświadczył, że dużo więcej podoba mu się mały domek z ogródkiem i jakaś cicha w nim zgoła nie wampiryczna Małgorzata, czy Kunegunda, na której łonie można byłoby złożyć swoją skołataną burzami życia głowę.

Porucznik Mc. Lean ciekawie nastawił ucha. Przypuszczając, że kapitan Skalski, który i w tych sprawach uchodził za znawcę, ma na myśli jakiś wesoły „mały domek z ogródkiem", począł wypytywać go o miejsce położenia w porcie tego domku i o zalety wdzięków Małgorzaty czy Kunegundy w nim urzędującej. Ale kapitan Skalski machnął tylko ręką i oświadczywszy, że porucznik go nie rozumie, sprowadził rozmowę na inny temat.

*) Messa — sala jadalna na statku.

Porucznik Mc. Lean powiedział jednak o tem bosmanowi, bosman zaś oznajmił już całej załodze, że „stary" zna jakiś „mały domek z ogródkiem", którego adresu powiedzieć nie chce.

Miało to ten skutek, że dnia następnego cała załoga przetrząsała miasto, szukając „małego domku z ogródkiem", gdzie mieszka Małgorzata czy Kunegunda, która tak przypadła do gustu kapitanowi Skalskiemu.

Poszukiwania te jednak były bezowocne i marynarze doszli do przekonania, że zarówno „mały domek z ogródkiem", jak i Małgorzata czy Kunegunda istniały tylko w wyobraźni kapitana Skalskiego.

Nie zdążyła jeszcze wśród załogi przebrzmieć sława owego „domku z ogródkiem", a już kapitan Skalski zdążył wypowiedzieć nowy dziwoląg. Stwierdził mianowicie, że słowiki na lądzie muszą mieć głos o wiele przyjemniejszy, niż mewy morskie, które tylko kwilą, śpiewać natomiast, jak słowiki, nie potrafią wcale. Wobec tego powiedzenia wszyscy znaleźli się w kropce, nie mogli bowiem zrozumieć, w jaki sposób kapitan Skalski mógł stwierdzić przewagę wokalną słowików nad mewami, skoro nigdy w życiu śpiewu słowika nie słyszał. Urodził się on na morzu, na statku i później już nigdy morza nie porzucał, służąc z początku jako kuchcik w kambuzie, później jako chłopak od świateł okrętowych, jako marynarz, bosman, porucznik, aż oto teraz w pięćdziesiątym roku życia dosłużył się stopnia kapitana dalekiej żeglugi. W ciągu tych pięćdziesięciu lat życia Skalski ciągle był na morzu, ląd znając tylko z zaułków, nor i szynków portowych, które jako żywo nie przypominają gajów, gdzie mogłyby przebywać cudnogłose słowiki. Skąd tedy wzięła się ta pewność kapitana w twierdzeniu, że słowik ma głos ładniejszy, niż mewa?

Nie zdążono jeszcze odpowiedzieć sobie na to pytanie, a już rozeszła się wieść o tem, że kapitan Skalski bezwzględnie przekłada towarzystwo szczurów lądowych nad kompanję zejmanów *), gdyż, zdaniem jego, ludzie lądu są bardziej kulturalni, subtelni, lepiej potrafią zrozumieć tęsknoty ludzkie i cierpienia, niż marynarze, zatwardziali w ustawicznej brutalnej walce z równie brutalnym, jak i oni, żywiołem.

Jeszcze w ciągu dwuch lat od chwili stwierdzenia „obrzydliwości gęb" ludu morskiego kapitan Skal-

*) Zejman — z angielskiego seeman (człowiek morski) w gwarze marynarzy oznacza wilka morskiego.

ski głosił różne prawdy i nieprawdy, które dowieść miały przewagi dobrodziejstw życia lądowego nad życiem koczowniczem marynarza. W mowach tych przewijał się ciągle motyw „małego domku z ogródkiem", który najwyraźniej stał się manją prześladowczą starego kapitana. Epilogiem tego stanu psychiki kapitana dalekiej żeglugi, Skalskiego, była wizyta u dyrektora towarzystwa okrętowego i prośba o dymisję. Zdziwiony dyrektor spytał o przyczyny. Okazało się, że kapitan Skalski jest sterany życiem i zmęczony służbą morską. Chce odpocząć. Od dziecka już pływa po morzach, od czterdziestu pięciu lat haruje, rąk nie pokładając, na różnych okrętach, zawijających do wszystkich portów świata całego. Zmęczony jest. Zmęczony fizycznie i moralnie. Rozszerzenie żył na nogach, którego się nabawił w młodości, wystając długie godziny służby na sterze, dokucza mu teraz nieznośnie i nie pozwala na zbyt długie przebywanie na pokładzie, co jest często konieczne przy burzliwej pogodzie. Od niedawna poczuł też jakieś podejrzane łamania w kościach, które uważa za początki reumatyzmu, tak częstego wśród marynarzy w jego wieku. Łamania te zwiastują zbliżającą się starość i są sygnałem, dającym znać, że już czas osiąść na lądzie i zacząć pędzić inny, bardziej odpowiadający jego latom tryb życia.

Właśnie te bóle w żyłach i łamanie kości są przyczyną tego, że jest zmęczony fizycznie. A moralnie? Mój Boże! Toż od urodzenia wałęsa się na statkach z jednego końca świata w drugi, od portu do portu, od szynku do szynku, żadnych innych przyjemności i innego życia nie znając. Zmęczyło go to życie. Znużył się ciągłą rozmaitością krajów, języków i ludzi, monotonją fal rozległych płaszczyzn morza, ruchem rytmicznym statku, kołyszącym się stale. Bolą oczy od patrzenia w niezmierną dal, bolą uszy od słuchania ciągłych wichru poszumów. Zapragnął wreszcie życia osiadłego na lądzie. Zapragnął mieć jakiś swój własny kąt na ziemi, gdzieby mógł żyć spokojnie bez ustawicznych niepokojów i trwóg, bez przenoszenia się z miejsca na miejsce, bez burz, mgieł, szkwałów i skał, których jest pełno na morzu.

Pochodzi z narodu rolników, uznającego tylko życie osiadłe. To też nic w tem niema dziwnego, że czterdzieści pięć lat życia koczowniczego nie potrafiły w nim zniszczyć tego narodowego instynktu tkwiącego we krwi.

Już mając lat trzydzieści, zaczął marzyć o tem, by na starość módz kupić sobie jakiś mały domek z ogródkiem w takiej odległości od morza, żeby nie było słychać ustawicznego pomruku fal. Marzył też, żeby zamieszkać w tym domku razem z kobietą, któraby była nie tylko kochanką, ale i wierną towarzyszką schodzących dni życia. Z początku nie myślał o tem dużo. Zajmowały go podróże, kraje i ludzie, bawiły przygody, sztormy i awarje, którym ulegał. Domem był mu cały świat, a żoną każda spotkana kobieta. Teraz zestarzał się bardzo i zmęczył. Chce odpocząć. Znajdzie sobie mały domek z ogródkiem tak daleko od morza, żeby nie było słychać szumu fal i zamieszka w nim sam... albo... albo nawet z „towarzyszką"!

— — — — — — — — — — —

W pobliżu Oliwy kapitan Skalski łatwo znalazł i kupił za zebrane w ciągu długich lat pieniądze mały, schludny domek, otoczony ogródkiem. Zamieszkał w nim na stałe, od czasu do czasu tylko wyjeżdżając do Gdańska dla sprawunków, jak mówił sąsiadom, a właściwie w poszukiwaniu „towarzyszki życia". O tę towarzyszkę, a zwłaszcza o taką, jakiej chciał stary kapitan (młoda, ładna, dobra i gospodarna), było nieco trudniej, niż o domek z ogródkiem. Znalazła się jednak wkońcu i ona. W miastach portowych istnieje pewien odsetek młodych kobiet, rekrutujący się przeważnie z kelnerek kawiarń i szynków, nie zepsutych jeszcze do cna, których marzeniem i celem życia są związki małżeńskie ze starymi emerytami marynarki, przeważnie kapitanami, którym wprawdzie brak nadziei na długie lata życia, ale za to nie brak pieniędzy.

Taką właśnie poszukiwaczką starego męża była dwudziestoletnia Anna, ku której zwrócił swoje afekta kapitan Skalski. Ujrzał ją i poznał w jednej z kawiarń Nowego Portu, w której służyła jako kelnerka. Młoda i ładna potulnością swoją i skromnem zachowaniem korzystnie odbijała od krzykliwego tła rozwydrzonych i jawnie rozpustnych towarzyszek.

Kapitan Skalski odrazu ją wyróżnił z ich grona, a wyróżniwszy jeszcze prędzej dał pozytywną odpowiedź na pytanie: ta, czy nie ta?

Czas umizgów trwał niezbyt długo, gdyż takie dziewczyny jak Anna wiedzą dobrze, że w tym względzie marynarze, choćby i nie młodzi, hołdują zasadzie „Times is money" i widząc, że sprawa posuwa się naprzód nie tak szybko, jakby oni sobie tego życzyli, zwracają płomień swych afektów w inną stronę. Anna tedy nie dopuściła do tego, żeby „płomień" odwrócił się w inną stronę, a wprost przeciwnie, postarawszy się rozniecić go do maksymalnych rozmiarów, wchłonęła w siebie szybko i chciwie. Po fakcie tym kapitan Skalski, jako gentelman - marynarz, oświadczył się o rękę jej i został przyjęty.

Przyjęty został pod pewnym warunkiem, a mianowicie niekrępowania w niczem jej swobody. Swobodę tę Anna rozumiała jako prawo wracania do małego domku z ogródkiem o każdej porze dnia i nocy, wychodzenia z niego również w porze, którą jej podyktuje fantazja danego ranka czy wieczora, oraz zachowanie dawnych znajomości i sympatyj z kawiarni.

Prawo swoje do stawiania podobnych warunków opierała Anna na twierdzeniu, że tylko niechcący uległa czarowi wspaniałej postaci starego żeglarza i że właściwie mówiąc wiekowi jej odpowiada bardziej młody mąż. Skoro się już jednak tak stało, że musi wyjść za grubo starszego od siebie człowieka, niechże przynajmniej ten starszy człowiek stara się osłodzić jej życie i nie zabrania bawić się z młodszymi.

Kapitan Skalski przyjął ten warunek, ze swej strony zastrzegłszy, że Anna nie będzie go zdradzać.

— Anusiu kochana — mówił do narzeczonej stary wilk morski — nie zdradzaj mnie, poczekaj, aż umrę, niewiele mnie już do tego brakuje. Po mojej śmierci będziesz się mogła kochać, z kim chcesz, gdzie chcesz i jak chcesz. Czego oczy nie widzą, to serce nie boli. Po mojej śmierci rób sobie, co chcesz, ale teraz, gdybym dowiedział się, że mnie zdradzasz, byłbym bardzo nieszczęśliwy. No, co, Anusiu, nie będziesz mnie zdradzać?

Na to otrzymywał takie zapewnienia i zaklęcia wierności małżeńskiej, że aż wstyd mu się robiło swych pytań.

Zaraz po ślubie zamieszkali w małym domku z ogródkiem, niedaleko Oliwy.

(Dok. nast.).

EUSTACHY CZEKALSKI

SZLACHETNY RÓD PING-WONGA

Elza z Brabantu po raz trzeci zwraca się do rycerzy, by obronili ją przed zjadliwem oskarżeniem Terlamunda. Orkiestra zamilkła na chwilę. Milkną też rycerze. Złowrogą ciszę przerywa ledwie dosłyszalny, psi płacz, dochodzący z garderoby prymadonny. Jak błyskawica wpada do uszu Elzy z Brabantu echo szczekania. Zabrzmiały męskie głosy chóru, zgłuszyły lament małej, czarnej suczki P o p p y, ulubionej „mascotty" śpiewaczki.

Zapewne nikt nie zauważył, nie schwycił tego psiego płaczu. Tylko wyostrzone, subtelne, współczujące ucho prymadonny zawibrowało. Rozkoszna psinka Poppy, sprowadzona z Anglji, już od dwóch lat jest nierozłączną towarzyszką kapryśnej śpiewaczki. Piękna to suczka ze szlachetnego rodu Ping - Wonga. Dziadem jej był Liń - Czań, pradziadem Dzin - ming - tuj, prapradziadem Wej - haj - ping. Możnaby wyliczyć jeszcze wielu praszczurów jej szlachetnego rodu. Poppy jest arystokratką pełnej krwi. Posiada wschodnią, dystyngowaną flegmę ruchów. Nie jest obżarta. Potrafi wdzięcznie służyć. Zna sztukę aportowania. Na życzenie pani może chodzić na dwóch łapkach. Wogóle jest to suka skarb, — przyjemne, pokojowe, rozkapryszone stworzonko!

Orkiestrowe dźwięki zwiastują przyjazd Lohengrina. Mocne, jaskrawe światło reflektora prowadzi już łabędzia z rycerzem w błyszczącej, srebrnej zbroi. Jak zaziemska melodja, płynie pieśń: „Łabędziu mój..."

Elza stoi wpatrzona w nieprzyjemne, ostre światło reflektorów; niepokoi się o małą Poppy. Ach, żeby się skończył jaknajprędzej ten turniej o jej cześć. Kiedyż opuści się kurtyna?!

* * *

Śpiewaczka wbiegła do garderoby kłusem. Nie zwracała dziś uwagi na brawa, nawoływania. Poppy zaskowyczała z radości. Wnet znalazła się na kolanach pani. Starannie obwąchała jej suknię. Delikatnie różowym, długim języczkiem pociągnęła po ręku.

Garderobiana czekała na Elzę z nową zmianą sukien. Fryzjer niecierpliwił się przy jasnoblond, zawiesistych warkoczach. Poppy żałośnie skomliła. Prymadonna żaliła się do garderobianej:

— Mam okropne zmartwienie z Poppy. Od dwóch dni nie chce nic jeść. Wyrywa się tylko nieustannie na dwór...

Garderobiana, niewiasta bywała, doświadczona, nieśmiało zauważyła:

— Może jej cni się do potomstwa?...

— Co też pani mówi?

Śpiewaczka ułożyła pekinkę na poduszce, a sama zajęła się przygotowaniem do II aktu. Garderobiana snuła swoją myśl:

— Niech pani jej nie trzyma tak na uwięzi. To i psu szkodzi...

— Cóż, kiedy trudno dla niej o odpowiedniego kawalera?

— Mało to psów w Warszawie!... dziwiła się garderobiana... Prymadonna aż poderwała się na krześle:

— Co też pani mówi! Przecież Poppy jest w prostej linji dyplomowaną wnuczką Lin - Czania...

— Czasy teraz są nie takie. Nawet hrabiowie żenią się z byle kim... Wiadomo, demokracja...

* * *

Poppy z dnia na dzień coraz więcej skamlała, niepokoiła się, drapała do drzwi. Codzienny spacer w Alejach wypadł też żałośnie. Jak na złość, dzień był piękny, wrześniowy. Wałęsały się różne psy rasowe i mniej rasowe. Pekinka szarpała się na smyczy. Chciała biedz za każdym spotkanym psem.

W pobliżu Łazienek już zaczęły się złocić stare, majestatyczne kasztany. Lekki wiatr niósł ostatnie może ciepłe powiewy. Budziły one melodje zbolałej, zakochanej Aidy, którą dziś wieczorem miała inkarnować prymadonna.

Na trotuarze z przeciwnej strony zamigotał kawowego koloru, żwawo ruszający się włochaty punkcik. Śpiewaczka utkwiła wzrok w nadchodzącym piesku. Poppy wydęła małe, czarne chrapki. Kawowy, włochaty pekińczyk szedł na smyczy obok starszej, dorodnej, dobrze ubranej pani. Prymadonna szybko obrzuciła spojrzeniem właścicielkę; otaksowała psa. Owłosiony był należycie. Na tylnych łapkach zwisały mu długie, wlokące się majtki. Ogon zapewne sięgał nosa. Przednie łapki miał krzywe, przepisowe. Kałmucka mordka o dwóch dużych, wyłupiastych oczach potwierdzała jakgdyby dostojną jego rasowość.

Śpiewaczka, gdy zmijała się na trotuarze z właścicielką kawowego pekińczyka, błyskawicznie powzięła decyzję.

— Pozwoli pani, że się przedstawię... Mam taki kłopot. Nie mogę dobrać kawalera dla mojej Poppy.

Starsza, dorodna pani lekko uśmiechnęła się i wdzięcznie odrzekła:

— Mogę pani przysłać, albo może będzie lepiej, gdy pani przyśle swoją suczkę do mnie...

Wskazała adres. Szybko się pożegnała. Poppy wpadła w rozpacz. Szarpała się na smyczy. Prawie zaczęła wyć. Dobrze, że przejeżdżała wolna taksówka. Śpiewaczka wsiadła z nią i w ten sposób prędko zlikwidowała bolesne zdarzenie. Wieczorem śpiewała Aidę bardzo źle, głos jej wypadł z karbów szkoły, detonowała jak początkująca, prowincjonalna gwiazda. Skądże mogła śpiewać bez zarzutu, gdy w garderobie przykro piszczała mała, chińska pieszczotka, szlachetna wnuczka Ping - Wonga!

* * *

Nazajutrz w południe prymadonna wybrała się z wizytą do właścicielki kawowego pekińczyka.

— Nie skoml, nie płacz... — strofowała swoją pieszczoszkę w taksówce. Pani wiezie cię do grzecznego kawalera.

Po wymianie pierwszych uprzejmości, panie jęły wgłębiać się w genealogję swoich psów. Poppy z Achmedem (tak zwał się kawowy pekińczyk) rozpoczęła harce po pokojach...

— Muszę panią zawiadomić, że moja pekinka pochodzi ze starożytnego, szlachetnego rodu... — uroczyście skandowała śpiewaczka...

— Achmeda dostałam w prezencie... — miękko wstawiła uwagę pani domu.

— Czy pani ma jego metryczkę?

— A po co?

— O, to bardzo niedobrze. Achmed wygląda na okaz czystej rasy... Powinien jednak mieć rodowód...

— Czyż nie wszystko jedno. Taki miły, wesoły psiak...

— Tak, proszę pani, ale moja Poppy pochodzi ze szlachetnego rodu Ping - Wonga. Jestem w rozterce. Bardzo panią przepraszam; nie będę mogła dopuścić do zalotów...

Podniosła się automatycznie z fotela, niemal jak królowa Etiopów i zawołała:

— Poppy do nogi!

Wołała jeszcze kilka razy; bezskutecznie. Właścicielka Achmeda zawołała swojego chińczyka. Też bezskutecznie. Nie słychać było nawet psich biegań. Cisza zalegała w mieszkaniu. Panie poszły od pokoju do pokoju szukać zaginionych psów. W sypialni nie znalazły, w salonie również ich nie było. W jadalni zaglądały nawet pod stół...

— Gdzież się podziały te niedobre psiaki!...

W gabinecie pana domu, pełnym ksiąg, obrazów, tek, nie widać było też psich mord... Przechodząc do przedpokoju, właścicielka Achmeda nieznacznie poruszyła portjerę: okryci za ciężką przesłoną, psy przytuliły się do siebie rozkosznie, zasłuchani w rytm własnych serc. Nie słyszały one wołań właścicielek, nie reagowały nawet na groźby...

Śpiewaczka ostro krzyknęła na Poppy:

— Pójdź do nogi!

Pekinka zachowała się zgoła, jak nie wnuczka Lin-Czania. Prymadonna chwyciła ją na ręce. Sprawnie nałożyła na mordkę kaganiec, przyczepiła smycz i szybko żegnała się z właścicielką Achmeda:

— Ach, moja pani, byłabym niepocieszona, gdyby moja Poppy miała nielegitymowane potomstwo! Należy się to przecież szlachetnemu rodowi Ping-Wonga...

NOTATKI LITERACKIE

DZIESIĘĆ MIESIĘCY POD GROZĄ ŚMIERCI...

Pamiętamy wszyscy niefortunną wizytę G. Duhamela, znanego i cenionego pisarza francuskiego. Przyjechał on sprawdzić, jakie stosunki panują u nas w więziennictwie. Niejednokrotnie też spotykaliśmy się z protestami w prasie angielskiej. Były one podpisane przez luminarzy literatury, nauki, polityki. Odpowiadaliśmy na nie, pełni zakłopotania i zbytniej grzeczności. Zapewne nie jest to dobrze, gdy zarzuca się jakiemuś narodowi tortury, bezprawie, gwałt. Opinja musi na to reagować. Jest jednak źle, skoro tego rodzaju oskarżenia padają gołosłownie. Gorzej jeszcze, gdy wiadomo z jakiego pochodzą nieżyczliwego źródła, a mimo to używa się ich do wątpliwych politycznych celów...

Z faktem tym liczyć się winny tak narody wielkie, jak i małe, państwa potężne, jak i słabe. Są przecież określone granice międzynarodowej kurtuazji. Nie możemy powiedzieć, że stosowano je często do narodu polskiego. W miarę krzepnięcia naszego państwa, w psychologji obcych reprezentantów władzy zaczyna narastać zrozumienie potrzeby tego stosunku. Jest to już wiele — był czas, że żaden zagraniczny poseł czy konsul nie chciał wiedzieć nic o Polsce i polakach. Los obywatela polskiego w wypadkach jakiegokolwiek zatargu stawał się tragiczny. Doświadczył tego na sobie p. inż. Mieczysław Schmidt, którego w bezprawny sposób aresztowali anglicy w Aschabadzie, więzili przez dziesięć miesięcy i poprzez Indje odtransportowali do Władywostoku, by oddać go... na rozstrzelanie rosjanom. Nie pomogły nic tłomaczenia, memorjały, prośby. Soldateska angielska, stacjonująca w kolonjach, ślepo stosuje prawo pięści. Pamiętnik p. Schmidta przynosi opisy tak wstrętnych znęcań się nad ludźmi, że nie może się to pomieścić w głowie europejczyka. Jakto, oficerowie armji J. Król. Mości są łapownikami? Czyż to możliwe, że angielski gentelman pozwala sobie na znęcanie nad niewinnymi ludźmi! A jednak prawdy tej nie da się przesłonić. Mówi ona poprzez pamiętniki inż. Schmidta, jak i memorjały jego współtowarzyszy niedoli duńczyka i szwajcara. Anglicy nie zważali na ich przynależność państwową. Traktowali wszystkich, jak ostatniego rodzaju kryminalistów. Bicie trzcinami, pięściami, kajdany — to nie wyczerpuje wcale środków angielskiej grzeczności.

Jest interesujące, że angielscy intellektualiści w rodzaju Bernarda Shawa czy Wellsa nie zgłosili w swoim czasie protestów. Była to przecież sprawa głośna. Szwajcara i Duńczyka musiał oficjalnie przeprosić lord Curzon. Wyznaczono im odszkodowania...

W każdym razie pamiętniki p. Mieczysława Schmidta pouczają nas o bardzo opłakanych warunkach, w jakich znajduje się sprawiedliwość angielska na Wschodzie. Nie jest to sielanka. Wydostać się z macków „Inteligence Service" — można tylko cudem. I po tych faktach będzie nam później prasa angielska wypisywała inwektywy o rzekomych gwałtach! *F.*

CZY ZNAMY DORZE LITERATURĘ POLSKĄ?

Napozór wyglądałoby, że literatura polska nie posiada tajemnic. Wystarczy otworzyć jakąkolwiek historję literatury, by należycie poinformować się, nauczyć o dziełach, o twórcach. Jest jednak inaczej. Specjaliści biadają naprzykład, że nie mamy „należytego wydania pism autora Trenów". To już jest dla laika niespodzianka. Jakto, a wydawnictwa A. Brücknera, J. Lorentowicza, wydanie pomnikowe z przed czterdziestu lat?! Prof. J. Krzyżanowski w pracy pt. „Studja nad literaturą polską" w w. XVI — XVII, zamieszczonej w X roczniku „Nauki polskiej", podkreśla, iż „pozostaje ogromna praca nad J. Kochanowskim, i to praca, na którą niema zbyt wiele czasu"... Przybyły nowe fakty, trzeba dać nowe opracowanie pism J. Kochanowskiego.

Jeżeli tak wygląda pozycja największego naszego poety przedromantycznego, to cóż sądzić o pisarzach dziewiętnastego wieku. Wiemy przecież, że wiele utworów, ważnych kulturalnych dzieł kryje się po czasopismach. Prof. Eug. Kucharski w artykule pt. „Naukowe potrzeby historji literatury polskiej" pisze:

„Jeżeli chodzi o literaturę XIX wieku, nie wolno nam zapominać, że lwia część polskiej produkcji literackiej z tego czasu mieści się w czasopismach. Mieści się tam prawie bez reszty nietylko cała krytyka literacka, teatralna i artystyczna,... ale i spora część oryginalnej twórczości polskiej, która nigdy wydania książkowego nie oglądała"...

Zdanie to, pochodzące od specjalisty, szukającego środków zaradczych na ten stan rzeczy, jest bardzo znamienne i powinno nasunąć poważniejsze refleksje o ciągłości kultury naszej literackiej. Może obecne, nieskrępowane życie nasze naukowe wpłynie na wyrównanie tych niepokojących w kulturze literackiej wyrw, niedomówień. Skoro bowiem specjaliści nie są w stanie ogarnąć całokształtu naszej literatury, to cóż mówić o przeciętnym śmiertelniku?

Niech nas to jednak nie zwalnia z obowiązku interesowania się twórczością polską!

25-LECIE ŚMIERCI PIOTRA CHMIELOWSKIEGO.

Piotr Chmielowski za życia miał wielu oponentów. Jego trzeźwość, rzeczowość, metodyczność raziły pisarzy młodszego pokolenia. Chmielowski, jako krytyk literacki, nie lubił rozwichrzeń, nie doceniał wartości ryzykownych metafor. Wychowany w solidnej szkole myślenia, szukał w literaturze pierwiastków, płodnych w zdrowe myśli społeczne, wzruszenia etyczno - estetyczne. Wiedzy jego mało kto wtedy dorównał; pracą nikt go nie zdystansował. I pomyśleć, że człowiek ten ciężko pracujący na chleb, jako nauczyciel, musiał lata całe strawić na pensjach, a jednak potrafił dać tak źródłowe prace, jak „Historja literatury polskiej" (6 tomów), oraz kilka podstawowych monografji: „Autorki polskie XIX wieku", „Nasza literatura dramatyczna", „Dzieje krytyki literackiej w Polsce". Świetnie redagował zasłużony dla naszego życia kulturalnego miesięcznik „Ateneum". Nie było zagadnienia kulturalnego w tym czasie, któreby nie znalazło reakcji w jego żywotnej, chłonnej, twórczej umysłowości. Gdyby chciano przepisać tytuły jego książek, artykułów, publikacji — byłaby to liczba o pozycjach bibljograficznych niespotykanych prawie.

Dwudziestopięciolecie śmierci Piotra Chmielowskiego winno przypomnieć jego wielkie zasługi dla historji literatury oraz kultury narodowej. Czas oddalił różnice, animozje. Pozostał pomnik pracy wyjątkowej. Bez dzieł Piotra Chmielowskiego kulturalny polak dziś obejść się nie może; sięga po nie zawsze, gdy chce zasięgnąć informacji o piśmiennictwie ubiegłych wieków; posługuje się, jako świadkiem rozumnym i wrażliwym, gdy chodzi o dzieła wielkich naszych prozatorów epoki pozytywistycznej. Ocena Chmielowskiego utworów H. Sienkiewicza, B. Prusa, A. Dygasińskiego, A. Świętochowskiego, E. Orzeszkowej pozostanie, jako dokument trwały dorobku polskiej myśli kryterjoznawczej.

